Rok I Warszawa, 26 Listopada 1921 r. Nr. 6

MYŚL NARODOWA

DOGMAT PASORZYTNICTWA

Socjalizm zaczyna już przeżywać i przeżuwać wspomnienia, otaczać się legendą i żyć tradycją. Nie zrealizował jeszcze swego arcyarystokratycznego ustroju czyli panowania znikomej mniejszości nad olbrzymią większością pod formą dyktatury proletarjatu, a już na zaliczkę przybiera maniery przeżytej arystokracji.

Niedawno w zamkniętem kółku familijnem święcił rodową uroczystość na cześć owej chwili, kiedy w Lublinie pomianował ministrami analfabetów, ale swoich, partyjnych, domowych. Celebrował twórca tej maskarady mięsopustnej sam arcytowarzysz Daszyński. Górnie piał, ale nie trzeba zapominać, że była to jedyna chwila, w której średniowiecze wracało i tytuł „towarzysz", po łacinie „comes" przybierał na mgnienie oka wartość średniowiecznego „comites ac barones", co potem w językach pochodnych przybrało formę „comte" lub „conte", po polsku hrabia.

Do tych sredniowieczno - hrabskich przywilejów wydziera się dalej dusza głodnych, pasorzytującej władzy towarzyszów. I zochwacony celebrant Daszyński zapowiada, że ten czas jeszcze wróci. Jest to zabawa w prorokowanie, dozwolona dotychczas tylko ludziom religijnym. Widocznie z arystokratycznemi zachciankami przychodzi zamiłowanie do mistycyzmu. Snowidztwo już i tak kwitnie u uświadomionych klasowo zwolenników loterji. Maluczko, a wrócimy do guseł i zabobonów tej nowej religji, wyrosłej z „materjalistycznego pojmowania dziejów".

Według zapowiedzi p. Daszyńskiego ma się ten „postęp" dokonywać nie odrazu lecz na raty przez „uspołecznienie" tych gałęzi produkcji, które do tego dojrzały.

Dziś po doświadczeniach polskich z okresu moraczewczyzny (kopalnie węgla, koleje, saliny it.d.) po doświadczeniach berlińskich, bawarskich, węgierskich, a zwłaszcza rosyjskich, mówić o „uspołecznieniu", „unarodowieniu", „upaństwowieniu" it.d. jest jednak zamierzeniem śmiałem. Jak oni sobie wyobrażają ten proceder, który wszędzie zakończył się sromotnem fiaskiem, nędzą i upadkiem?

P. Daszyński między dojrzałymi do uspołecznienia środkami produkcji wymienia fabryki metalurgiczne. A że właśnie niedawno na Zjeździe metalowców inny towarzysz poseł Żuławski referował tę sprawę dokładniej, warto się z jego wywodami zaznajomić.

P. Żuławski przy „uspołecznieniu“ przedsiębiorstw odrzuca przejście przedsiębiorstw: a) na własność robotników, b) na własność państwa. Czyjąż więc u kata własnością mają stać się przedsiębiorstwa, jeżeli mają być odebrane dzisiejszym właścicielom, a nie przejść ani na kooperatywę zatrudnionych robotników, ani na własność państwa?

I tu zaczyna się już nie rozważanie gospodarcze, ale teologiczno-scholastyczna czy sofistyczna gmatwanina. Właścicielami mają być zarówno producenci jak konsumenci. Kto tę zagadkę zdoła rozwiązać praktycznie?

Przypomnijmy socjalistyczną zasadę, że producentem nie jest ani kapitalista, który fabrykę zbudował i w ruch puścił — ani dyrektor z inżynierami, którzy ruch utrzymują—bo to burżuje i wyzyskiwacze—lecz wyłącznie robotnicy, obsługujący maszyny. Kto jest konsumentem, czyli drugą kategorją współwłaścicieli? Jeżeli wszyscy niemetalowcy są konsumentami, to całe państwo jest obok metalowców współwłaścicielem. Wpadamy zatem w monopol, od którego odżegnywa się p. Żuławski. Co gorsza wpadamy w bolszewizm, co p. Żuławski przyznaje, gdy mówi: „Usiłowania w tym kierunku widzieliśmy w Rosji. Tam jednak bolszewicy dekretami, bez żadnego przygotowania... pragnęli przeprowadzić uspołecznienie. My jednak ten sposób... odrzucamy“. Uspołecznienie jest zatem zrealizowaniem bolszewizmu, ale nie za pomocą dekretów. Czyli bolszewizm jest istotnym celem sosjalizmu, głoszonym tak przez p. Daszyńskiego, jak przez p. Żuławskiego, tylko sposób wprowadzenia komunizmu ma być odmienny. Na początek i to wyznanie jest bardzo cenne. Teraz można zrozumieć, dlaczego socjaliści, walcząc pozornie z bolszewikami, odrzucają bezwzględnie uznanie bolszewizmu za antypaństwową doktrynę. Wszak sami mu hołdują. Spór zaś toczy się o to, czy Dzierżyński, Marchlewski, Radek i Kon mają być rządem w socjalistycznej Polsce, czy też nasi domowi, nadwiślańscy towarzysze, którzy już w Lublinie zakosztowali smaku władzy i mają oskomę.

Warto jednak poznać jak to w inny sposób, a nie przy pomocy dekretów, przeprowadza się komunizm czyli uspołecznienie.

Oto stanie się to przez powolne ograniczanie władzy kapitalisty w przedsiębiorstwie. Zdaje się, że liczne ustawy już tego w znacznym stopniu dokazały. Ale tego, przy poczynającym zaledwie przemyśle polskim, jeszcze jest socjalistom za mało. Domagają się zatem wprowadzenia mężów zaufania, rad fabrycznych i komitetów fabrycznych.

Znamy i to, nietylko w Anglji, ale nawet w Poznaniu. Znamy nawet te parlamenty fabryczne. Takie nowości w bardzo wielu wypadkach wpłynęły bardzo zdrowo na byt przedsiębiorstwa, bo robotnik, zainteresowany w jego rozwoju, pracuje wydajnie i starannie, a przepędza precz agitatorów strajkowych.

Ale tego socjaliści boją się najwięcej. Oni nie chcą spokoju i pracy w fabrykach, bo to odsuwa na zawsze wykonanie komunizmu, jako naczelnego dogmatu doktryny. I dlatego p. Żuławski zastrzega się zaraz, że „w przeciwieństwie do systemu angielskiego, w Polsce komitety fabryczne nie mogą być samodzielne, lecz silnie złączone i zależne od centralnych organizacji zawodowych“.

W prostym języku, bez teologicznych obsłonek tej nowej religji, znaczy to tyle, że komitety fabryczne nie po to mają istnieć, aby robotnikom w miarę rozwoju ich przedsiębiorstwa zapewnić jak największe korzyści, żeby rozwinąć produkcję, zwiększyć zyski i zapewnić przedsiębiorstwu rozwój, a robotnikowi umilić pracę, zachęcić go do wydoskonalenia się i postępu zawodowego... Nie. Komitety fabryczne mają być ekspozyturą garści politycznych szantarzystów, stojących na cele centrali zawodowej.

I taka zawodówka jest nawrotem do średniowiecznej organizacji cechowej, z odrzuceniem wszelkich zalet tej korporacji. Każdy rzemieślnik musiał w średniowieczu należeć do cechu. Dziś socjaliści gwałtem zmuszają robotników, aby należeli do klasowej zawodówki. Ale cech miał swoją korporacyjną dumę, która kazała wyroby członków kontrolować i zezwalać na sprzedaż tylko wyrobów doskonałych. Gdyby komitet fabryczny był samodzielny, nietylko wskutek własnego zainteresowania się fabryką, ale wskutek potrzeby konkurencyjnej, rychło zacząłby się starać, ażeby wytwory tej fabryki były doskonałe, lepsze od innych.

Tego socjaliści się boją. Dlatego chcą te komitety fabryczne związać nie z fabryką i jej pracownikami, lecz z polityczną centralą. Cele są dwa: a) robotnik nie śmie się doskonalić w swoim zawodzie i b) komitet musi zmierzać do dezorganizowania przedsiębiorstwa wedle komendy z góry. Z organizacji cechowej przejmuje się stronę bezdusznie formalną, a odrzuca wszystkie jej zalety.

Na tym stopniu rozwoju „uspołecznienie“ przedstawia się wręcz praktycznie jako zapewnienie wygodnego kawałka chleba na koszt fabryki garści socjalistycznych agitatorów, który mają pasorzytować tak na fabrykancie jak na swoich dotychczasowych towarzyszach pracy i czuwać nad tem, żeby się to przedsiębiorstwo nie rozwijało, a robotnicy nigdy nie byli zadowoleni.

Taką rolę znakomicie odgrywała szlachta w ostatnim okresie pańszczyzny. Przywrócenie tych stosunków z przed wieku teraz po fabrykach każą nam socjaliści uznawać za zrealizowanie niebotycznego postępu.

Celem tych komitetów jest powolne ograniczanie władzy właściciela fabryki aż do całkowitego usunięcia jego wpływu. Czyli znowu, mówiąc po prostu, celem jest wywłaszczenia fabrykanta.

Uderzający jest jeden rys socjalistów. Mamy nieprzebrane skarby kopalin w całych Karpatach, w zachodniej Małopolsce i Kielecczyźnie. Mamy dość lasów, trzebionych dzisiaj z jakąś niszczycielską zaciekłością. Mamy miljony ludzi, nie mogących wyżyć ze swych ogródków i żądnych pracy. Mamy nieprzeliczony rejestr potrzeb gwałtownych jak drogi, mosty, koleje, kanalizacje, odbudowę, tramwaje, oświetlenie, wodociągi it.d. it.d. I jeszcze ani razu socjaliści, nawet teoretycznie nie próbowali stawiać żądania, aby te bogatctwa uruchomić, żądnych pracy zatrudnić, potrzeby nasze zaspokoić przez własny przemysł — jednym słowem rozwinąć ten przemysł. Ich korci, razi, gniewa, spać nie daje ta znikoma niewystarczająca liczba przedsiębiorstw, jakie jeszcze u nas wegetują — i chcą tę troszkę zniszczyć, obrabować, zabrać, wywłaszczyć. Czy to nazwiemy wywłaszczeniem, czy eksproprjacją, zawsze to oznacza po polsku zabór cudzej własności czyli kradzież. I tę kradzież uznali za dogmat religijny. Dniem i nocą pocą się, żeby ją ludziom wmówić, wtłoczyć, wmusić. Strzegą się jak ognia zachęty biedaków do tego, aby się wzbogacili, tworzyli nowe gałęzie zarobkowania, mnożyli bogactwa własne, przeto i narodowe, a z uporem maniaka wołają, uczą, głoszą: zabrać to, co jeszcze jest, co ocalało przed najazdami i zaborami.

Przypuśćmy bowiem, że osiągnęli swój zamiar. Komitety fabryczne usunęły właściciela. Któż więc zostaje właścicielem? Naturalnie komitet fabryczny. Garść ta przywykła już do życia na cudzy koszt, więc sobie tego przywileju nie da wydrzeć. Tłum robotniczy, pracujący, pracować będzie dalej na drugich. A marną to będzie dla niego pociechą, że właścicielem nie ten est, który w przedsiębiorstwo włożył kapitał i zmysł organizacyjny, lecz garstka jego kolegów, która prócz ujadania wedle dyktanda z centrali, nie włożyła w przedsiębiorstwo ani pieniędzy ani pracy.

Nie będzie żadną zmianą fakt, że zamiast jednego właściciela będzie ich kilkunastu, czy kilkudziesięciu. Wszak i dziś w przedsiębiorstwach akcyjnych jest więcej współwłaścicieli. Nie będzie nowością także i ten fakt, że ci nowi właściciele będą pochodzić z byłych robotników. Przecież i dzisiaj mamy fabrykantów, którzy przez pilność, pracę i zapobiegliwość, z niczego, od robotnika prostego zaczynając, dorobili się własnej fabryki.

Jedyną różnicą będzie to, że właścicielami są ludzi, któ zy ani pieniędzy, ani pracy fizycznej czy umysłowej w przedsiębiorstwo nie włożyli, tylko wywłaszczyli założyciela. Czyli kradzież jest istotą „uspołecznienia“.

I gdyby dla zamaskowania tej ohydy choć raz ci głosiciele uspołecznienia bąknęli coś o założeniu fabryki nowej, o wywierceniu nowej kopalni czy przez spółkę robotniczą, czy przez państwo dla samych robotników, możnaby łudzić się, że mają

jakiś, choćby mglisty plan rozwijania przemysłu, dawania zarobku potrzebującym, zwiększania produkcji! Nie! Ukraść, to co już jest i co jeszcze dyszy. I nic ponadto.

W tych warunkach wynik uspołecznienia musi być jeden, czy go się dokonywać będzie po bolszewicku przez dekrety, czy po pepesowsku przez rozszerzanie władzy komitetów fabrycznych: ruina wytwórczości. Zawiść jest ojcem, kradzież środkiem, nędza wynikiem uspołecznienia i całego socjalizmu. Od życia na cudzy koszt idzie się do kradzieży.

Jan Zamorski.

KAZANIE NA ZADUSZKI

II.

W swojej krakowskiej mówce musiał premjer-nota, p. Ponikowski pouczyć swoich słuchaczy krakowskich, aby o Naczelniku Państwa wyrażano się zawsze galowo i po byzantyńsku. Ton, jakim pewna część prasy wyraża się o protektorze Petlury, Tiutiunika i Hołuj-Hulaja, Kowalskiego, Jodki, Wasilewskiego, Sławka, Prystora i t. p. panu Ponikowskiemu się nie podoba. Niebacznie przytem premjer ignorant stawia nam przykład Francji. Co ten jegomość wie o życiu we Francji? Czy tam kiedy siedział? Czy był kiedy w „Folies Bourbon"? Kogo zna z polityków francuskich? Od kogo ma niebożątko swoje informacje? Czy ma pojęcie jak pisała prasa o Sadi Carnocie? Czy wyobraża sobie co pisano na drugi dzień po śmierci Faure'a u Belle Sorel? Czy wie, że Loubet na wyścigach został spoliczkowany? czy imaginuje sobie jak pisano o połciu słoniny, Fallierze? czy czytywał artykuły Clemenceau o Poincarem lub Daudeta dzisiejsze o Millerandzie? Czy wogóle miał w ręce „Populaire", „L'Humanité", „L'Action Française? Czy zna pisma satyryczno-humorystyczne francuskie i czy widywał tam kiedy karykatury prezydentów? Czy wie o tem jak się śpiewa o prezydentach w music-hallach i kabaretach? Poco wogóle śmie napomykać coś o Francji postać z tego Beselerskiego lejbgabinetu, który protestował przeciw wersalskiej uchwale! A może p. Ponikowski ma jakieś pojęcie o dzisiejszych Niemczech republikańskich? Czy czytuje jak się tam pisze o Ebercie? Czy zna jego karykatury w „Simplicissimusie"? Czy słyszał kiedy o „Caliguli" Quiddego, satyrze na Wilhelma, lub o Rodzinie Obmanowych Old-gentlemana Amfiteatrowa, satyrze na Romanowych, drukowanych tuż pod ich nosem w pismach rezydencyjnych, stołecznych, w cesarstwach rzekomo autokratycznych. Nawet o Taticzku Massaryku, t. j. patryarsze, cieszącym się w takiej mierze szacunkiem i czcią całej Europy, w jakiej nasz Naczelnik niestety nie cieszy się zupełnie, jednak

podobno czyta się dość figlarne kawałki, a w Pradze, na Vaclavskim Namesti jest teatrzyk polityczny, gdzie w żywej karykaturze dają tego czcigodnego, poważnego męża stanu i prawdziwego ojca swego narodu.

Skąd więc nagle ta służbista drażliwość na punkcie naszego Naczelnika? Niech p. Naczelnik zakaże jednym gestem swojej dyspozycyjnej prasie szczuć, oszczekiwać i szkalować, poniewierać całym szeregiem mężów, którzy Polskę uratowali przed losem Bułgarji i Węgier, niech na przyjaciół „Kurjera Porannego“ nałoży kagańce, niech z taką mstliwą zaciekłością nie proteguje systematycznie samych enkainitów, niech zerwie karirodcze więzy ze swoją Petlurą i nie popycha Polski z awantury w awanturę, z intrygi w intrygę, z kabały w kabałę, a subordynacja się znajdzie, najwięksi jego antagoniści na wiele epizodów z jego karjery oczy przymkną i legalistami się staną. Jak na taką pyramidę gaff i błędów politycznych, jaką p. Piłsudski własnoręcznie spiętrzył, jak na taką litanję dziwacznych i patologicznych powiedzonek, jakie jemu udało się wygadać, jak na tą horrendalną gospodarkę w wojskowości, na to szafowanie dyspozycyjnym funduszem dla „urabiania opinji” i „propagandy zagranicznej”, to przyznać trzeba polska publicystyka odnosi się do p. Naczelnika z wyjątkowymi względami, z wymuszoną rewerencją, a raczej z jakąś apatją, jakby terrorystycznie zahypnotyzowanej dzieweczki Trilby, którą litewski Svengali zaczarował.

Coprawda działa tu mocno suggestja i presja wrzaskliwego kultu, jaki uprawia dla bladej, romantycznej postaci, spartej na szablisku, dorosła smarkaterja, patridioty kochające Polskę tylko tem, że nie cierpią Moskali... i podatków, dalej c. k. Kraków i nieprzeliczone rzesze biurowych i sztabowych dostojników, synekurzystów, dygnitarzy, znakomitości, dyplomatów, orderowych kawalerów, powyciąganych z prowincji, aus dem dunkelsten Galizien, z Rosji, z Szwajcarji, z nicości, z niebytu, a wśród nich i takich nieznanych do niedawna potulnych belfrzyn a dziś rozgadanych mentorów narodu, jak uomo singulare Ponikowski.

Nas ten kult szamański i ten rewanż za karjery nie obliguje, panie premjerze! My jemy gorzki chleb opozycji i jesteśmy już we własnej ojczyźnie, właściwie ledwie tolerowaną „mniejszością narodową”, choć niejeden z nas uczył polskości i o polskości swój naród w niewoli jeszcze wtedy, gdy p. Piłsudski w Łodzi mocno z ruska rozmawiał po polsku ze swoimi żydkami.

Premjerzy szczególnie tacy od siedmiu boleści a ósmego przypadku przemijają a wolność niepodległego wypowiadania myśli nie przemija. Sowieckiej Rosji z jej zakneblowaniem prasy tutaj z Polski zrobić nie damy. Prawa wglądania w nierządną gospodarkę i trzepania was po rękach nikt nam żywcem nie odbierze.

Niejeden z nas żarł się i borykał przez lat kilkanaście z cenzurą rosyjską, potem przez lat cztery z cenzurą pruską. I nie dali mu rady, panie premjerze. Niejednemu z nas radził wynieść się z Warszawy dwadzieścia lat temu radca Iwanowskij, a pięć lat temu prync Oettingen-Wallerstejn, pański protektor. A nie wynieśliśmy się i teraz się nie wyniesiemy. Dłużej klasztora, jak przeora. Rewolwery bandyckich entuzjastów Naczelnika też nie nastraszą a doprowadzą do tego wyłącznie, że opozycja względem naszych swojskich Petlurów zdejmie raz wreszcie rękawiczki.

Epoka romantycznych awantur i awanturników ma się ku końcowi. Przedłużyć jej pod pretekstem zresztą w normalnych warunkach wszystkich bezwzględnie obowiązującego szacunku i lojalności dla naczelnej zwierzchności nie damy i nie pozwolimy.

Adolf Nowaczyński.

GROCH O ŚCIANĘ...

Odczyty inż. Drewnowskiego w Stowarzyszeniu Techników o naszych stosunkach gospodarczych mają ustaloną sławę. Także ostatni odczyt z 11 listopada „Wzrost drożyzny czy zubożenie powszechne?" zgromadził znaczną liczbę słuchaczy. Prelegent powiedział dużo rzeczy ciekawych, dobrze sformułowanych, powtórzył i niejeden pewnik dawniejszy, coraz lepiej formułowany. Dobitnie — przy pomocy bardzo ciekawych wykresów — scharakteryzowawszy na wstępie niezdrowy ruch walutowy, skoki kursów, oszałamiający wzrost cen—zatrzymał się na ogólniku, który często powtarzamy, że wprawdzie skarb polski jest pusty, ale obywatel opływa w dostatki i gdyby tylko zechciał się ograniczyć w niejednem, nie zwlekał z podatkami, a dołożył coś do nich ofiarnie—równowagę budżetu państwowego z łatwością dałoby się przywrócić. I tu przedstawił nam bardzo trafnie istotne stosunki materjalne rozmaitych grup społecznych, jak „rentjerzy, kamienicznicy, ziemianie, drobni właściciele rolni, robotnicy fabryczni, pracownicy przemysłowi i handlowi, urzędnicy państwowi, kupcy, aferzyści wojenni, inteligencja pracująca".

Z tego przeglądu jasno wynikało, że wojna zubożyła wszystkich i frazes o bogactwie obywatela w przeciwstawieniu do pustki skarbu państwowego nie wytrzymuje krytyki. Jedynie drobny rolnik posiada zasoby i całkowitą niezależność materjalną, którą sobie zyskał przez handlowanie w sposób niedozwolony produktami rolnymi, przy względnie pomyślnej dla tych ostatnich konjunkturze. Drukowany rozkład odczytu zapowiadał także uwagi o daninie, ale prelegent je pominął, pozostawiając snać domyślności słuchaczy wyprowadzenie wniosku o postawie ludowców w stosunku do daniny. Szkoda, ze nie stwierdził wyraźnie, iż żądanie daniny, choć przychylnie przez ogół przyjęte, trafia na spo-

łeczeństwo zubożałe, a jedyną warstwą, którąby ciężaru daniny wcale może nie odczuła, jest włościaństwo rolne, które z poduszczenia ludowców gotowo się od niej właśnie uchylić.

Ale to był w odczycie tylko incydent. Inż. Drewnowski wyraźnie wysuwał na pierwszy plan fakt powszechnego naszego zubożenia i nie widział innego wyjścia, jak zwalczanie drożyzny przez politykę gospodarczą, któraby jak najbaczniej czuwała nad potrzebami rodzimej produkcji, któraby w sposób czynny nareszcie do szybkiego wzmożenia tej produkcji dopomogła, a pozatem nie obniżała własnowolnie w życiu gospodarczem czynnika pracy.

Wzmożenie naszej produkcji jest jednak możliwe jedynie przy zewnętrznej pomocy, któraby zaopatrzyła nasz przemysł w brakujące nam maszyny, na zakup których, jak i surowców, dostarczyłaby nam kapitału.

Jest to *conditio sine qua non*. Warunek to jednak nieosiągalny przy kierunku obecnym polityki polskiej. Jeśli pewne czynniki polityczne, pomimo grożącej nam katastrofy gospodarczej, są zdolne do walki z hasłem wzmożenia napięcia pracy bez zastanowienia uzbrajać ulicę, jeśli z drugiej strony czynniki najzupełniej miarodajne w polskiej polityce — rząd i sejm — utrzymują w zakresie polityki gospodarczej czynnik wywłaszczenia, jako zasadę dobitnie podkreślaną w różnych ustawach i wykonywaną w życiu, to nie ma co myśleć o dopływie obcego kapitału i katastrofa gospodarcza państwa polskiego jest nieunikniona, a z nią utrata naszej niepodległości.

Niestety inż. Drewnowski, przemawiając w Stowarzyszeniu Techników, przekonywał przekonanych. Słuchano go chętnie, ale dyskusji nie wywołał. Była to sobie taka demonstracja—na użytek domowy.

Temi dniami pisał Dillon w „Gazecie Warszawskiej" te wielce trafne słowa: „W czasach, w których wzajemna zależność od siebie narodów, znajdujących się na pewnym kulturalnym poziomie, ujawnia się w sposób znamienny — sprawy ekonomiczne i polityczne, przenikają się ściśle nawzajem i politycy, którzy traktują je jako dwie odrębne dziedziny, nie mające ze sobą nic wspólnego, mogą narazić swój kraj na nieprzyjemne niespodzianki".

My niewątpliwie stoimy przed taką niespodzianką, nietylko „nieprzyjemną", ale wprost groźną, gdyż kierownicy nawy państwowej polskiej przeważnie dotąd nie ujawniali dostatecznego przygotowania, by wogóle w granicach potrzeby współczesnej rozumieć sprawy ekonomiczne. Ażeby ocenić wagę jakiegoś przedmiotu—trzebaż go przedewszystkiem obejmować.

Jeśli stwierdzamy ten fatalny brak w typie polskiego męża stanu—cóż dopiero mówić o masie ogółu społecznego. Było poprostu historyczną zasługą ministra Michalskiego, że zdołał zająć naszem położeniem ekonomicznem, tak krytycznem, nietylko kierownicze sfery polityczne, ale i szerokie koła społeczne, ba — niezmiernie korzystnie zapłodnił nawet wyobraźnię mas.

I musimy sobie—ku swemu wstydowi—powiedzieć, że poprawa położenia była w pełni do osiągnięcia tylko w warunkach tego korzystnego „nastroju".

Cóż się zaś stało? Oto lekkomyślnie odwrócono falującą wyobraźnię ogółu polskiego od zagadnień, jak najistotniej palących i, nie licząc się z niczem, zaabsorbowano—ponoć na parę tygodni — uwagę kierowników naszej polityki sprawą wileńską. Właśnie tak natarczywie, że wniosek o całkowitej niepoczytalności polskiej polityki nasuwa się wprost, swoim i obcym.

Zaiste dziedziny spraw politycznych i ekonomicznych nie przenikają się w Polsce dostatecznie, a polski „polityk" par excellence zupełnie sobie dotąd nie zdaje sprawy, że jego „polityka", gdy nie zadba o podstawę ekonomiczną, to działanie zupełnie niepoważne, nie zasługujące według współczesnych pojęć wogóle na miano polityki. Nie mówiąc o tem, że uwzględnianie w polityce w należytej mierze czynnika gospodarczego, zapewnia jej tę równowagę i ten umiar, które są warunkiem jej trwałości.

Gdyby do steru polskiej polityki nie dorywali się ludzie o krępujących niekiedy wprost brakach wyrobienia w sprawach ekonomicznych, sprawa polska o wiele dalej byłaby już posunięta. A społeczeństwo polskie na wewnątrz nie byłoby wciąż jeszcze tak skołatane okresem wojny, nie cierpiałoby na dotkliwą dezorjentację w najżywotniejszych swoich codziennych sprawach, byłoby też plastyczniejszym elementem w ręku kierowniczych czynników politycznych.

Dobra polityka wymaga pieniędzy, zwłaszcza po okresie wojen. I niechże raz ustaną te powierzchowne, dziecinne ujadania na te żywioły społeczne, które w ciężkim znoju codziennym zajęte pracą produkcyjną w sensie gospodarczym oraz organizowaniem produkcji, stanowią podstawę państwa w jego polityce. Jeśli wytwórca wartości gospodarczych ma bezpośrednio swój zysk na widoku, to pozostaje niemniej szanownym czynnikiem w budowie społecznej, w budowie państwa i zdaje on sobie z tego swego znaczenia doskonale sprawę: byłoby fatalnem uchybieniem oczywistości interesu publicznego, gdyby go się wadliwą polityką gospodarczą w rozmachu pracy osłabiało.

Odwracanie od tych zadań uwagi, jak i przeciąganie ich wypełnienia w celu wynalezienia umiłowanego w naszej izbie wyjścia kompromisowego — to polityka niegodna naszych aspiracji narodowych, to sposób rządzenia Polską trochę karuzelowy.

Polską dzisiejszą rządzi się czasem *lege artis*. W odświeżonej w sądzie apelacyjnym sprawie o domy Zamoyskich przypomniano, że wyrok swój sąd pierwszej instancji oparł na motywie zasadniczym, iż w b. Królestwie Polskiem na zawsze jakoby z Cesarstwem Rosyjskiem połączonem, królowi prawo konfiskaty

przysługiwało, tem samem konfiskata domów Zamoyskich, jako przeprowadzona formalnie, na podstawie przepisów w tej mierze obowiązujących, atakowaną być nie może.

To jest dopiero postępowanie ścisłe, oparte o rozumowanie... bez zarzutu.

Ale i takie kwiatki, odsłaniające całą zgniliznę moralną niektórych naszych czynników rządzących, nie byłyby do pomyślenia, gdyby nasze pojęcia prawne kształtowały się w świetle właściwych, na Zachodzie obowiązujących kategorji ekonomicznych.

Jan Lutosławski.

DWA ZNAMIENNE MOMENTY

Podczas zawstydzającego zatargu ostatnich dni, który został usunięty ale nie minął, dwa momenty pszedewszystkiem zasługują na podkreślenie i na wszechstronne rozważenie przez wszystkich ludzi, dla których dobro państwa nie jest frazesem ani pretekstem.

Po pierwsze. Gazety „Czas" krakowski i „Kurjer Polski" w Warszawie, tudzież przedstawiciel kierunku konserwatywnego poseł Federowicz postawili jednomyślnie kwestją w ten sposób:

W jakim charakterze p. Józef Piłsudski jest mniej niebezpieczny dla Polski — czy jako Naczelnik Państwa, bądź co bądź krępowany przez Sejm i Rząd, czy też jako usunięty z tej godności partyzant, który naturalnie uda się prosto do Wilna?

Samo ujęcie kwestji jest dla państwa wprost kompromitujące. A trzeba zważyć, że tak ją ujmują nie „endecy", posądzani o zwalczanie osoby Naczelnika Pańsfwa, a nie jego kroków, niezgodnych z konstytucją. Takie ujęcie kwestji pochodzi od tych krakowskich konserwatystów, którzy przywykli być wierną podporą każdego tronu i którzy uznali od początku belwederski surrogat tronu za zupełnie wystarczający dla ich lojalności. To też powyższe stawianie kwestji powinno dać wiele do myślenia wszystkim obywatelom Polski.

A i drugi moment nie jest bynajmniej więcej pocieszający. Na posiedzeniu polskich przewodniczących klubów, w polskim Sejmie, polski szef państwa staje się adwokatem obcego państwa i domaga się ofiar terytorjalnych ze strony państwa polskiego. Pleduje ni mniej ni więcej, tylko oderwanie części terytorjum od państwa polskiego, aby je ewentualnie przyłączyć do państwa obcego. Wystarczy przeczytać, jak ustawy karne całego świata definiują tego rodzaju czyny i zamierzenia, ażeby zobaczyć całą potworność naszego położenia. To są rzeczy, za które rumienić się musi każdy Polak, a za które cudzoziemcy odmawiają nam wszelkiego zaufania.

J. Z.

ZZA KULIS NASZEJ DYPLOMACJI

STRATEGJA.

Zazwyczaj bywa wszędzie tak, że dyplomacja zajmuje się tylko wypowiedzenjem wojny i zawarciem pokoju, natomiast samą wojnę prowadzą wojskowi. Jednak dyplomaci nasi mają w sobie zbyt wiele instynktu wojowniczego, by zrezygnować z przyjemności, jaką daje jego zaspokojenie. Wojna więc nie ustaje w M. S. Z., wprawdzie nie ta wielka wojna armat, karabinów maszynowych i aeroplanów, ale ta mała bezkrwawa wojenka osobistych ambicyjek i krytych intryg, podkopów, podgryzania i wygryzania. Trwa od samego początku i ci, którzy pierwsi zasiedli przy ul. Miodowej, mają już dziś eksperjencję przeszło czteroletnią. To też wyrobily się tu nawet już pewne stałe i niezawodne zasady strategiczne, które dałyby się ująć w pewien system, wcale ciekawy dla profanów, dla zawodowców zaś, zwłaszcza początkujących, niezbędny dla gruntownego poznania, jako nieodstępne vademecum.

Kto walczy i z kim? W zasadzie wszyscy przeciw wszystkim. Już u kołebki wskrzeszonej państwowości polskiej okazało się, że dyplomatów mamy więcej niż Anglja i Francja, za wiele na nasze — nawet najzbytkowniejsze — potrzeby. Mane-Tekel-Fares ukazało się z chwilą, gdy skarb nasz zapragnął wreszcie żyć wedle jakiegoś budżetu i zaczął kontrolować etaty. Więc strach generalny i generalna pozycja obronna—każdego na własną rękę — boć niemal każdy redukcją mógłby być zagrożony.

I tu zabłysła pierwsza zasada strategiczna: obrony aktywnej. Miast czekać, aż mnie wygryzą, lepiej samemu wygryźć przyszłych gryzoniów. I stąd polityka przymierzy, zrazu tylko od potrzeby do potrzeby, z czasem przeistoczona w formalne systemy różnych „małych entent“. Korytarze gmachu przy ul. Miodowej i pałacu Brühlowskiego, lokal Klubu Myśliwskiego, a także niejeden salon prywatny, wieleby o tem mogły powiedzieć, że pominiemy już na razie misterne nici raportów urzędowych i dyskretnych listów prywatnych, rozpięte między centralą a placówkami.

W ten sposób utworzyła się z czasem ta nieznośnie zatruta atmosfera, która dziś niemal wszechwładnie w dyplomacji naszej panuje i główne cele karjery rządowej ukazuje nie tyle w pracy nad powierzonem im zadaniem, co w walce o zagrożoną lub upragnioną posadę. Bo walka jeszcze nie ustała, liczby dyplomatów czynnych dotąd jeszcze nie zdołano zredukować do ich cyfry etatowej. Odeszli oczywiście przedewszystkiem ci, którzy nie stosowali obrony zaczepnej, przeważnie więc idealiści lub ludzie nie bojący się, że i poza dyplomacją dadzą sobie w życiu radę; zostały przeważnie mocne zęby i tęgie łokcie i one to nadają dziś naszej dyplomacji taki fason, że z poza niego nieraz i nie widać tych coraz rzadszych jednostek, dla których pierwszym i głównym, a często jedynym celem nie jest karjera i tylko karjera.

Są różne sposoby, by nić intrygi na korytarzu lub w salonie osnutą zaczepić o „miarodajne czynniki“, tembardziej że chodzi tu nie tyle o to, by coś się zrobiło, ile o przeszkodzenie, aby coś się nie zrobiło.

Więc — pierwsza możliwość — aby ludzie przeniesieni z placówek do centrali nie dostali żadnego określonego przydziału. Błąka się taki tygodniami a nieraz i miesiącami po korytarzach, prolonguje bezpłatne urlopy i czeka, dostaje zapowiedź nominacji, potem dowiaduje się o jej zmianie, potem o cofnięciu: i tak w kółko, zależnie od cierpliwości osobnika; wytrwały i ofenzywny nieraz wkręci się ostatecznie, mniej zdolny ostatecznie się znudzi i zdymisjonuje. Westchnienie ulgi u kolegów: jednego mniej.

Potem — ignorowanie. Więc się człowieka pomija stale, nie dopuszcza do udziału w sprawach, które należą do jego referatu, uparcie proponuje przeniesienie do innego oddziału, czasem i przenosi; i znowu próba cierpliwości póki sobie wreszcie, dłużej tak wytrzymać nie mogąc, sam nie pójdzie.

Sposób jeszcze inny, świeższej daty, to mianowanie z centrali na placówkę, a potem cofnięcie nominacji, ale już po obsadzeniu tego miejsca w centrali kim innym. Taki wraca do pierwszej kategorji — kandydatów z korytarza.

Poza tą strategją zaczepną jest jeszcze obronna. Bo do szańców św. Trójcy zaczyna coraz bardziej szturmować oburzona opinja. Podnoszą się skandaliczne rewelacje i osobnik — choć zwycięski w walce wewnętrznej — czuje się zagrożony zewnętrznie. I tu najlepszą receptą jest stawianie własnej sprawy na platformie ogólnej. To nie moją osobę tylko atakują, ale cały system, a zatem was wszystkich, wogóle władzę — powiada tak. I władza często idzie na ten lep, indentyfikując się z atakowanym. Powstaje kwestja prestige'u. Tak podobno stanęła n. p. sprawa pewnego attachatu wojskowego, o którą wiele było hałasu, bardzo niedawno.

A jednak władza zapomina o jednem: że komu zarzucają jakąkolwiek winę, powinien z niej być oczyszczony, inaczej ci, co go osłaniają, stają się sami współwinni. I wtedy już trudno rzeczywiście nie generalizować: w szklance wody wystarczy jedna kropla atramentu, by woda była niemożliwa do picia.

Spectans.

PUSTE ORZECHY

Cygara czy papierosy?

I przyszedł dzień, w którym światło oddzieliło się od ciemności, wody od lądów, a zwierzęta czyste od nieczystych.

I w Sejmie przy głosowaniu nad całością państwa polskiego, nad zasadą niezawisłości, oddzieliło się coś od czegoś.

Tu jest prawo. Obóz z samych Polaków. Śpiewali „Rotę", akt wiary i akt przysięgi.

Tam jest lewo. Mięszanina według numerów:

1) Żydzi i socjaliści.

2) Niemcy.

3) Firmy: a) Witos i S-ka, b) Traktjernia: „Stapiński", lud na spożycie miejscowe i na eksport.

4) Sekta: Wyzwolenie z panną-mateczką Ireną.

5) Dziki ksiądz: Okoń.

6) Ćwierć funta rozmaitości czyli K.P.K. czyli: jeden magnat galicyjski i jeden kołtun krakowski.

To wszystko świewało: „O cześć wam posłowie, magnaci".

— — — — — — — — — — — — — — —

Wiersze okolicznościowe próchnieją jak zęby, a plombowanie jest tylko zarobkiem dla dentystów. Gdy się w dobie niewoli powtarzało: „armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara, panowie w stolicy palili cygara", oburzenie targało sercem i rozumem na wspomnienie tych Sobiepanów, którzy naród traktowali jak swojego poddanego „chama", bili go po pysku, a przytym nosili się w senatorskich sobolach. Palili cygara, no tak....

Dzisiaj wiemy, że Hawana jaśnie pana ani gorsze ani lepsze od papierosa Witosa. Te chłopki arcyludowe puszczają również dym, Polskę z dymem... Rezultat taki sam, z cygara, czy z papierosa, dym... z hawany czy kapustosa.

Właściwie i żydom socjalistycznym jak Djamanto-Perlowi, i żydom konserwatywnym jak Koliszer-Loewensteinowi, i żydom-żydom jak Hirschhornowi wszystko jedno, co dostarczać: cygara czy papierosy. Aby handel szedł.

Niechaj się o to kłócą, niechaj śpiewają. Tym więcej palić, tym głębiej zaciągać się będą. Któż odmówi słuszności takiemu rozumowaniu?

Ale w pięcioksięgu Mojżesza jest przykazanie: „nie będziesz zaprzęgał osła razem z wołem". Woły się jakoś buntują. One są nacjonalistyczne. Osioł ma wielki międzynarodowy spryt, ale wół ma pracę, i przyszłość należy do jego tęgiego karku i ostatecznie rogów. Prędzej czy później matador torreador conquistador Trockij legnie z rozprutym brzuchem.

Dziadek.

SPRAWY WOJSKOWE

Weryfikacja oficerska.

Ciągnąca się od dwóch lat weryfikacja stopni oficerskich dobiega końca. Pozostało jeszcze ustalenie starszeństwa w obrębie każdego stopnia, rzecz nadzwyczaj ważna dla dalszego awansu. Ciekawą jest rzeczą, w jaki sposób Komisja Weryfikacyjna rozwiąże się kwastję, gdy cała robota z gruntu fałszywie była podjętą.

Gdyby przy ustaleniu stopni stosowano do każdego oficera jednaką przedmiotową miarę, to nawet przy uprzywilejowanem stanowisku ochotniczych grup, którym służba wojskowa liczyła się podwójnie, tak samo niewola i należenie do org. P. O. W., możnaby jeszcze dojść do ładu. Należałoby tylko obliczyć ilość miesięcy i dni służby każdego oficera, (co zresztą jest już zrobione) a następnie w obrębie ilości miesięcy oddzielającej jeden stopień od drugiego, a więc n. p. majorów w obrębie 150 a 160 miesięcy posegregować, począwszy od mającego najmniej służby aż do tych, którym niewiele brakuje do stopnia bezpośrednio wyższego, lub naodwrót bez względu na przynależność oficera do danej grupy. Przy postępowaniu takiem, rzuciwszy na razie zasłonę na to, w jaki sposób urosła komu ilość miesięcy potrzebna do osiągnięcia danego stopnia, można by mówić o objektywnem traktowaniu każdego oficera.

Niestety technika dotychczasowej pracy Komisji Weryfikacyjnej stoi temu na przeszkodzie. Błędy leżą nie tylko w wykonaniu pracy, lecz także w samem ujęciu jej przez „Ustawę 2. VIII. 1919, o ustaleniu starszeństwa oficerów." Fałszywe było w założeniu podzielenie przez ustawę korpusu oficerskiego według przynależności aż na 7 grup (§. 4.), jakkolwiek można twórców ustawy usprawiedliwić chęcią stworzenia lepszych warunków do przeprowadzenia dokładnej ewidencji, przez taki podział na grupy. Gorzej jednak przedstawia się sprawa z wykonaniem ustawy i Instrukcją Naczelnego Wodza, który powołał Komisję Weryfikacyjną i ustalił technikę jej pracy.

W myśl §. 14. c. Ustawy 2 sierpnia ogólna liczba miejsc w każdym stopniu przyznanych różnym grupom winna o ile możności odpowiadać procentowej ilości oficerów grup wyszczególnionych art. 4 pod 1. i 2, przy zastosowaniu niniejszej Ustawy. Należało zatem procentowo podzielić korpus oficerski na grupy według faktycznego stosunku tych grup do siebie licząc każdego, kto w dniu wstąpienia do wojska polskiego stopień oficerski posiadał. Tymczasem instrukcja zamiast trzymać się faktycznego stosunku, podzieliła dowolnie korpus oficerski na grupy według nast. procentu: austr. 40 proc., ros. 30 proc., leg. 20 proc., niem. 5 proc., Haller. 5 proc. Wynikło stąd, że 20 proc. przyznany legionistom nie odpowiadał faktycznym danym nawet po doliczaniu i tych, których po 1. XI. 1918. na gwałt z szeregowych na oficerów awansowano, gdy dla innych grup wszelkie awanse były zamknięte.

Kiedy na zebraniu ogólnej Komisji Weryfikacyjnej przyszło do obsadzenia stopni według etatu przypadającego na każdy z nich, okazało się, że grupa legjonowa nie miała przyznanej sobie 20 proc. ilości kwalifikujących się do czasu służby komendantów na dany stopień. Postępując sumiennie należałoby etat danego stopnia uzupełnić oficerami innych grup, które miały nadwyżkę kwalifikujących się kandydatów. Komisja weryfikacyjna legjonowa nie zgodziła się jednak na to i obsadzała cały procentowo przypadający im według instrukcji etat swoimi oficerami, nadając awanse bez nieprzepisanej ilości miesięcy. Gdy zatem porównać np. kapitana b. armji austr., a kapitana legjonowego, to jakże tu może być mowa o ustaleniu sprawiedliwego starszeństwa między nimi? Kiedy ten kapitan legjonowy może nawet na stopień porucznika nie ma przepisanego czasu służby? A tymczasem §. 14. b. Ustawy 2. VIII. poleca, że „lista starszeństwa wewnątrz każdego stopnia winna być tak złożoną, by oficerowie wszystkich grup następowali po sobie w danym stopniu w najczęstszej kolejności grup, przy zachowaniu porządku starszeństwa w tych grupach." Jakże tu mówić o „najczęstszej kolejności grup," gdy stopnie grupy legjonowej nie dorównują ilościom miesięcy służby stopniom innych grup, a przecież czas służby przy uwzględnieniu kwalifikacji osobistych, miał być podstawą ustalenia stopnia starszeństwa danego oficera! Że Kom. Weryf. legjonowa nie da zrobić sobie krzywdy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, nie może jednak obojętną pozostać na taki proceder prasa i komisja sejmowa. Należy raz już ustanowić podstawę wspólną dla wszystkich, jedyny miernik kwalifikacji

osobistej: wykształcenie ogólne i wojskowe, doświadczenie życiowe nabyte przez dłuższą służbę wojskową i wartości moralne danej jednostki.

Tymczasem ani w Oddz. V. ani na zebraniach ogólnej Komisji Weryfikacyjnej nie sprawdzono kwalifikacji żadnego legjonisty, jakkolwiek za różne rozrachunki polityczne i na skutek denuncjacji zdyskwalifikowano nie jednego oficera pochodzęcego z armji obcych, bez żadnego uzasadnionego powodu. Jest to może rzeczą przykrą, jednakże trzeba będzie stanowczo powołać nową Komisję, którąby zrewidowała wynik prac Komisji Weryfikacyjnej legjonowej. Dopóki to się nie stanie, nie można stopniom oficerów legjonowych przyznawać tych walorów jakie należą się stopniom innych oficerów. Sami legjoniści to rozumieją dobrze i dlatego znaczna część tych, którzy wysoko awansowali, nie nosi rozmaitych blaszek, które zdradzają ich przynależność. Bez takiej rewizji już pozostanie wszelkie rozprawianie o potrzebie jednolitości naszego korpusu oficerskiego zupełnie bezprzedmiotowe Otem wszystkiem pamiętać powinna w szczególności Wojskowa Komisja Sejmowa. *J. M.*

LENIN W TEATRZE POLSKIM

Teatr literacki przy ul. Oboźnej wystawił w ostatnich czasach tuż po świetnym Molierze dwie bluetki Wacława Grubińskiego, uzdolnionego pornografa i bluffisty krytycznego „Kurjera Porannego". Tytuł jednej: „Piękna Helena", drugiej „Lenin". Pierwsza jest bardzo udałym persiflażem mytu Trojanskiego, nieco tylko, wydłużonym miejscami wulgarnym i zbyt brutalnym. W każdym razie jest to doskonałe libretto dla operetki w wiedeńskim stylu Lehara lub Falla, którem co prędzej powinien się zająć np. p. Wincenty Rapacki. Autor sprytnie podpatrzył pewne właściwości dowcipu i djalogu Bern. Shawa i od czasu do czasu w dość zresztą monotonnym i nieokrzesanym djalogu imituje Shawa, znęcając się dowcipnie nad przekwitaniem królowej Spartan.

Druga rzecz jest już pretensjonalna i arogancka ale również zabawna. Możnaby to zatytułować: „Jak sobie mały Tadzio wyobraża Sowiety". Takie rysuneczki w kajetach czwartoklasistów są bardzo zabawne. Widzi się naocznie, jak w móżdżku miłego, kapryśnego chłopczyny odbija się wrażeniowo świat ludzi dorosłych. Bobie słucha pilnie o czem rozmawiają starsi i potem to wszystko przezabawnie opowiada. Na obrazeczku p. Grubińskiego namalowany jest tedy i Lenin i Gorkij i Łunaczarskij i Sadoul i Chińczyki i car Mikołaj (Gottorpow V) i taka ładna duża aktorka. Telefon dzwoni bez przerwy, elektryczność się pali, Chińczyki słuchają swobodnie rozmowy (nie rozumieją po rusku), a Sadoul, Gorkij i Łunaczarskij mówią na przemiany to wszystko, co „mały Tadzio" słyszał czytane na głos przez papę przy kawie z... „Kurjera Porannego" wstępnych artykułowanych tasiemców p. Ehrenberga. Raz po razu padają więc słowa: Babeuf, Marx, Lassale, strajk, fabryka, rewolucja, karabin maszynowy i raz nawet gaśnie światło. Stosunkowo najefektowniej krzyczy dziwnie jakoś skretyniały Pieszkow, do którego sowietniki mówią: Gorkij, tak jak by do Przesnyckiego mówiło się: panie Miriam. Najsprytniejsze w bluetce małego Tadzia jest brak jakiegokolwiek żyda na scenie ze względu na delikatność uczuć publiczności i... kasę teatralną. Jest to więc Kreml odżydzony, co wywołało oczywiście niebywały entuzjazm dwóch krytyków teatralnych z ulicy Zgoda. Kulminacyjnym punktem ramotki jest odczytanie przez Lenina artykułu Kazimierza Ehrenberga z okna do buntujących się co dnia, jak wiadomo, tłumów. Poczem słychać za sceną okrutny trzask. Okazuje się ze sztuczki, że mały Tadzio jest wielkim reakcjonistą na codzień i odrzucał w czambuł całą ideę socjalistyczną, jak jego papa Fryze sprzyja raczej akumulacji kapitału w nielicznych rękach. Zabawna przez swój dziecinny smaczek bluetka nadawałaby się doskonale dla Grand-Guignolu lub wogóle tego typu teatrzyków z za-

bawnymi straszliwościami. Byle jeszcze kogoś uśmiercić na scenie. Naprzykład tę aktoreczkę, która tak swobodnie wysiaduje sobie w kancelarji Lenina, jak dawniej mały Tadzio widział krowienty i adeptki wysiadujące u pana Ehrenberga.

Z wystawieniem tych arcydzieł domowych „Kurjera Porannego" zdarzyło się tego rodzaju qui pro quo, że jednoaktówki, kwalifikujące się raczej do „Qui pro quo", wystawił poważny i szanujący się teatr na literackim poziomie stojący. Stąd klapa w kasie i w krytyce, mimo niekrępującej się już reklamy w „Kurjerze Porannym"

Wyobraźmyż sobie teraz, że rewanżując się nam jakiś Kremliński Wacio Grubiński napisze teraz, dla którego z „Miniatur" moskiewskich, czy „Nietoperzów" tego stylu dziecinnego karykaturę p. t. „Belweder". Może być gaudium.

W ostatniej chwili dowiadujemy się z łamów „Kurjera Porannego", że oba arcydzieła swojskiej reklamy tłómaczone będą na szereg języków obcych; na włoski tłomaczy dr. Włoch, na bułgarski dr. Brzeg, na hebrajski p. Rosenzweig. Nadto przygotowywane jest także wydanie luksusowe w języku esperanckim oprawne w dobrze wygarbowaną skórę wydawców „Kurjera Porannego".

W stu egzemplarzach, numerowanych... *(n).*

Z PRZEMÓWIEŃ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
na posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu dn. 1 maja 1917 r.

(Według wydawnictwa „Z Dokumentów Chwili" XXXII)

Państwa centralne krwią swoją opłaciły zdobycie polskiej ziemi przy niewielkim przelewie krwi samych Polaków; *mają więc prawo moralne do urządzania naszego kraju.* Sytuację tę jako wojskowy rozumiem....

...Przypominam sobie, że gdy wspomniano tu o konieczności istnienia obok rządów okupacyjnych polskich organów wykonawczych, wtedy hr. Lerchenfeld zastrzegł się jaknajsilniej przeciwko tej koncepcji „Nebenregierung", twierdząc, że jeżeli nawet dwoje ludzi dąży do jednego i tego samego celu, to nie mogą oni wszakże tego czynić razem. A tymczasem *dążenie polityczne Polaków polega obecnie na tym właśnie „Nebenregierung"...*

...Rada Stanu zadanie swoje spełniła, przełamała pierwsze lody, *przełamała nieufność kraju do polityki państw centralnych* i *tę zasługę historja jej przyzna,* zapisze to na jej plus... Co się tyczy rządu, to żądanie to popieram, ale *nie należy go stawiać, jako ultimatum, bo to byłoby pośrednim wypowiedzeniem wojny, czego nie chcę.* Wierzę bowiem, że interesy okupantów zmuszą ich niebawem do tworzenia „Nebenregierung"...

WŚRÓD KSIĄŻEK

Nakładem „Książnicy Polskiej" Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych ukazały się świeżo z druku wydawnictwa:

W dziale podręczników szkolnych: Tadeusza Sierzputowskiego „Elementarz rachunkowy"; Tytusa Benniego „Podręcznik języka angielskiego", zawierającego wypisy ze wskazówkami poetycznemi; „Pan Tadeusz" z objaśnieniami prof. Jana Bystrzyckiego i prof. Michała Janika.

W dziale podręczników dla szkół wyższych doskonała rzecz Witolda Broniewskiego p. t. „Zasady metalografji".

Cena pojedyńczego egzemplarza 40 mk. Prenumerata kwartalnie mk. 480, półrocznie 960, rocznie 1920. Zagranicą 2880.

Ceny ogłoszeń: Za wiersz millimetrowy lub jego miejsce na II stronie mk. 130. na przedostatniej 100 mk., na ostatniej 110 mk. (3 szpalty).

Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.